

## Rozdział 46.

Koniec końców spoglądałam na wytwór romantycznego Walca. Centrala przy wsparciu Kuberiańskich i NZDelhijskich uczonych zdołała w pełni zrekonstruować ślady odnalezionych przeze mnie naczyń. Nadal, obok oczywistego piękna archetypicznej, wczesnorolniczej ceramiki nie było widać w owych kubkach i czarkach nic nie zwykłego. Nic, co by zdradzało, że tworzyła to „piątka”.

- Jak to możliwe? – zapytałam Walca, którego opowieść biegła wciąż nieprzerwanie. Będąc nieco wyssaną z palca legendą dla Kuberiańskich potrzeb nie tłumaczyła tego faktu.
- Nie wierzysz, że „piątka” może stworzyć „dwójkowy” przedmiot? – zdziwił się Walec, zaś oszołomieni Kuberianie nie zwrócili uwagi na zmianę tematu rozmowy.
- Wierzę – zaśmiałam się, – ale kwestia tkwi w ilości przybliżeń. Na bazie tego co wykonane można analizować memetyczny rozwój zawarty w twórcy. Przy dostatecznie dużym zbliżeniu, niemal zawsze odnajdujemy elementy stylizacji, gdy takie winny zachodzić. W tych ceramikach nie jestem ich w stanie odczuć nawet przy ogromnych przybliżeniach analitycznych.
- Gdy ktoś się postara... – zaczął Walec.
- Wiem, gdy ktoś się postara, wiele rzeczy staje się możliwymi – przerwałam mu. – Ale na co był taki trud w przypadku zostawiania przedmiotów na żywieli, której szanse na rozwój były raczej zerowe? Jedyne przez przypadek, drogą ćwiczeń, doprowadziłam wraz ze Słonecznym (objaśnienia) Kuberian do początku cywilizacji. Mogliście oczywiście widzieć z innego wszechświata całą naszą czasoprzestrzeń, a zatem oglądać to, co ja nazywam przyszłością. Ale czy te czarki to jakieś precyzyjne uderzenie w przyszłość, w jakiś jej newralgiczny punkt?

- Pamiętaj, że operujemy na złożach czasoprzestrzennych – zaśmiał się kosmita, – zatem linie wydarzeń są niejako deseniem naszych złóż. Są jak żyły tej czy innej rudy. Gdy chcemy wytworzyć elegancki przedmiot, to czemu by nie oddać w nim naturalnych pejzaży, elementów, którymi zajmowaliśmy się na co dzień, gdy tworzyliśmy?
- Sugerujesz, że nawet to nasze spotkanie jest elementem tej pozostawionej przez waszego artysty czarki? – zdziwiłam się.
- Oczywiście – przytaknął walec wesoło. – Dlatego tu jestem. Dopełniam artystycznej koncepcji.
- To doskonałe – ucieszyłam się i pokiwałam głową z podziwem, – ale w takim razie nie ma sensu wymyślać dla nich legendy. Uda mi się chyba oddać po kuberiańsku opowieść o dziele sztuki. Teraz zapisuję to w hindi i w ogólnym zarysie nie sprawia mi to większej trudności, zatem i w języku Kubery nie będzie to raczej trudne.
- Proszę bardzo – kosmita niemal odetchnął z ulgą, – nie lubię zbyt fantazyjnych dekoracji. Prostota i synteza są mi bliższe.
- Wiem, co teraz powinnam zrobić – zaśmiałam się i wysłałam do statku projekt maszyny garncarskiej zawierającej w sobie coś paleolitycznego (ale bez przesady). Niemal natychmiast zawrzały przede mną nanoboty i urządzenie było gotowe. W kolejnym kroku opracowałam zasób umiejętności garncarskich dla mojego Spojrzenia (które było w tym momencie Kuberianinem w skafandrze kosmicznym) i zaczęłam twórczo kopiować to, co w tym samym momencie oglądałam w muzeum na Kuberze.
- Znakomicie – pochwalił mnie Walec, – w ten sposób projekt się zamyka i dzieło sztuki jest gotowe.
- Przypuszczam, że będziecie mieli problem, chcąc je eksponować w waszym wszechświecie? – zapytałam nie odrywając się od pracy, która, choć w dużym stopniu opierała się na automatycznie wgranych umiejętnościach, wymagała też ode mnie świeżego spojrzenia i inspiracji. Podeszłam do tego jak do utworu muzycznego.

- Nie będziemy mieć żadnych związanych z tym kłopotów – zauważył kosmita. Za nim opadła kurtyna doskonałego kamuflażu i pojawiła się budowla, nie do końca dostępna dla moich zmysłów. Punkt nacisku przeniósł się na to moje Spojrzenie i zobaczyłam nieco więcej, rozbudowując się o idee i doznania przypływające z innych lokalizacji. Wciąż jednak spora część budowli znikła i pojawiała się w bliżej nieokreślony sposób, zaś mgliste stany niedualistyczne odczuwałam przez zmysł z planety (...), który określe tu roboczo „smakowaniem rytmu”. Tym nie mniej, nawet w niepełnym kształcie, budowla wydawała mi się olśniewająco piękna.
- To na czarkę, którą teraz robię? – spytałam domyślając się odpowiedzi.
- Oczywiście, zbudowaliśmy to jakiś czas temu, jeśli miałbym posłużyć się tutejszą miarą pojęć – rzekł Walec. Obok mnie pojawił się piec do wypalania. Ostrożnie włożyłam do jego środka gliniany kształt. Przez krótki moment, dzięki starannie przetwarzanym odruchom garncarki zdołałam wykonać sto tysięcy rzeczy. Na szczęście macki mojego Spojrzenia, wspierane przez skafander, nie męczyły się, zaś wspomaganie energetyczne otrzymałam od nanobotów zawartych w kole garncarskim. Technologia była NZDelhijska, oparta na patencie Wadź, która z kolei otrzymała instrukcje z (...). Zatem była to stara tradycja.
- Zostawić to wszystko? – zapytałam wskazując na narzędzia pracy. Proces wypalania czarki nie miał być przyspieszany, więc musiała ona zostać w piecu kilka ziemskich godzin co dawało niemal dwa Kuberiańskie „dni”. Swoją drogą, od kiedy część Kuberian żyła na powierzchni ojczystego księżyca i kolonii miara dzienna stawała się coraz bardziej popularna. Liczono ją od planety (obraz), która znajdowała się bliżej macierzystej gwiazdy i miała rzecz jasna prostszą orbitę w obrębie swojego układu niż jakikolwiek księżyc.
- Tak, to też jest element naszej czarki, tak samo jak

- sporo mających nadejść wydarzeń – stwierdził Walec.
- Tylko nie mów mi o nich – zastrzegłam, gdyż dość już miałam na razie wypełniania istniejącej historii.
  - Nie mam najmniejszego zamiaru – zapewnił mnie kosmita. – Inaczej nie wstrzyknąłbym ci MSK.
  - Ba! – zakrzyknęłam z uznaniem, – nikt w tym sektorze nie ma chyba równie dobrego. Z początku sądziłam, że jest normalne, ale jego możliwości się jeszcze aktywują.
  - To też element naszego projektu – wyjaśnił Walec.
  - Mam niezwykle szczęście – westchnęłam zadziwiona.
  - Ciekawość to potężne skupienie zjawisk naturalnych – powiedział do mnie i do siebie przybysz z innego wszechświata.
  - Ona nie jest...? – zaczęłam pytanie.
  - Nie, ciekawość w tobie zawarta nie jest naszym wytworem, nie należy do naszego dzieła. Istnieje odwrotna korelacja – twoja ciekawość należy do elementów inspirujących powstanie tej neodwójkowej czarki.



Czytając te wspomnienia Czytelniku zdziwisz się zapewne tym, że wciąż wracam w nich do NZDelhi, które wprawdzie się zmienia, lecz w dużej mierze pozostaje takie samo. Zastanowisz się, być może, dlaczego wciąż chcę opisywać to miasto, skoro jednocześnie przebywam w tylu innych miejscach, z których każde jest czymś zupełnie nowym dla języka, którym się posługuję (pisałam już, że u nas obowiązuje nowy hindi, który ze swojego protoplasty ma może pięć procent pierwotnego impulsu). Rozwiązanie tej zagadki jest proste. Dopiero po

wizycie na (...) zrozumiałam, dlaczego niektóre drzewa wyciągają gałęzie w taki, a nie inny sposób. Pojęłam też ludzki element mentalności owocujący stosowaniem szerokich gzymsów, zwłaszcza w stylu neopalladiańskim pozostawionym przez Brytyjczyków i rozwijanym, jako jeden z narodowych stylów, przez naszych architektów. Zrozumiałam lepiej zapach jaśminu, nad czym rozmyślałam i teraz przechadzając się po ogromnym parku nieopodal Birla Mandir, fantazyjnej świątyni wzniesionej w XIX wieku przez bogatego przemysłowca Birłę dla Lakszmi i Wisznu. Posągi w środku były niezbyt staranne, więc jeden z rzeźbiarzy (nie Klee 7, który był w tym czasie zajęty ważniejszym przedsięwzięciem) wykonał lepsze, zachowujące pewne cechy ich dawnych odpowiedników. Kolumny i wieże zgodne z Vastushastrą zostały poprawione, uwolnione od rozmytej ciastkowatości, charakterystycznej dla niedostatecznie dofinansowanych przedsięwzięć z okresu tak zwanych „biednych Indii” przypadającego na XIX i XX wiek. Zaś zapach jaśminu stał się moim skarbem. Niezwykła analogia ze związkami chemicznymi z mgławicy (...) do teraz stanowi dla mnie jedno z największych wyzwień. Pomagają mi naukowcy z sekcji CW naszego uniwersytetu, lecz wciąż jesteśmy w kropce. Ciężko nawet ocenić, kiedy trafimy na trop tajemnicy. Zbyt duża ilość niewiadomych nie pozwala nam uzyskać natychmiastowej odpowiedzi z maszyn obliczeniowych, tych naszych, jak i tych udostępnianych przez cywilizacje (...), (...) i (...). Jednym słowem, piękna zagadka. Jestem potrzebna na NZDelhi jako królowa. Kolejne rządy przekazują mi coraz większe uprawnienia, gdyż podoba im się chthoniczna i losowa arbitralność niektórych moich zarządzeń. Z pewnością za niektórymi z nich stoi dobrze harmonijna przypadkowa moc obliczeniowa Natury pierwszego stopnia. Ma to swój nieodparty urok, zatem jestem niemal stale obecna jako królowa w kompleksie pałacowym. Prócz tego moja stała obecność zachodzi w Ogrodzie Rozkoszy, gdzie też, na bazie doświadczeń z podróży rozwijam wraz z nimfami jogę seksualną, tę medytację nad płodnym oceanem przemian, nad mechanizmami rozkoszy, jakie przypadkowo Natura tworzy by utrzymać geny w ich walce o pozostanie i narastanie. Ten projekt, który ciężko opisać

słowami, stał się jednym z intuicyjnych komputerów, jakimi się posługujemy. Pewne chwile negacji, odejścia od jakichkolwiek form istnienia poprzez erotyczną ekstazę służą najlepiej obnażaniu przypadkowej mocy Natury. Ciekawe są te wszystkie udoskonalenia w obrębie ścianek macicy, przesunięć unerwienia, zmiany składu hormonów płciowych, dodawania nowych receptorów, szukania nowych, bardziej idealnych łuków dla bioder i piersi, lepszych receptorów dotyku i smaku. Sposób napełniania się płynem męskiego lingamu też stał się elementem wielu udoskonalień, tak samo jak jego kształt i różnorodne nanobiologiczne substancje zastępujące spermę. Nagłe uniesienia stały się dla mnie i dla moich Ukochanych myślami, poematami krzyku i zapachu otwierającymi nowe perspektywy dla badań rzeczywistości. Niezależnie w którym spojrzeniu czuję zawsze mocny dźwięk naszych tantrycznych rytuałów, ciągły rytm zagłębiającej się w ciało płodności, albo też siłę w jaką zagłębiam się w ciało. Te wszystkie atawistyczne wizje o wejściu w głąb macicy Ukochanej, albo o byciu rozerwaną przez członka kochanka rosną, stają się dłuższe, można się po nich przechadzać w rytmie melodyjnych oddechów, pocałunków i ukąszeń. Te wrażenia najchętniej zamykamy w tańcu i w filmach, doprowadzając do granic finezji atawistyczne pomady i towarzyszące im ewolucje taneczne. Muzyka łączy się zaś z tańcem i SNA prężnie się rozwija. Uśmiechając się do dawnej tradycji, niekiedy samodzielnie sporządzam kadzidła z pyłków niezwykle kwiatów i starodawnego, wysuszonego krowiego łajna, którego skład jest jednakże doskonały. W NZDelhi, tak jak dawniej, jest wiele krów, przechadzających się spokojnie po wszystkich zakamarkach miasta i zaludniających wiejskie obszary. Wiele robotów nauczyło się spożywać substancje organiczne i rozwija się sztuka kulinarna, tym bardziej, że pojęcie głodu nie istnieje, natomiast jak najbardziej jest rozwijane pojęcie „smakowania”. Ja też nie muszę się odżywiać. Włosy mojej podstawowej formy (i preferowanej w jodze seksualnej) pobierają substancje z otoczenia, podobnie jak dzieje się to w wypadku wszystkich moich poddanych. Spojrzenia oczywiście są zasilane poprzez aktywność nanobotów lub

pobliskich stacji kosmicznych.

Dotarłam w miejsce bez miejsca. Całkiem możliwe, że przez przypadek, gdyż pojawiło się zaburzenie w bramie przestrzennej. Odczułam jego obecność, poza tym nie widziałam nic, ani nie otaczały mnie żadne kształty. Dotknięcia, czy też jakieś stany analogiczne, nie zachodziły w tej egzotycznej przestrzeni.

- Witaj Słoneczny! – rzekłam. – Dawno cię nie odwiedzałam na NZDelhi, więc spotkaliśmy się tutaj.
- Domyśliłaś się, brawo! – ucieszył się mój przyjaciel.
- To prawie nieprawdopodobne natknąć się na siebie we wszechświatach, zatem musiałam założyć, że mam do czynienia z kimś znajomym. Byłeś pierwszy na liście.
- To prawda, lecz czasem prosta myśl przychodzi z trudem.
- Chyba straciłam to Spojrzenie.
- Nie, wydostanę je.
- Dziękuję. Co chciałeś mi powiedzieć?
- Zrobiłaś ogromne postępy, przyjaciółko. Odkryłaś zagadnienie związane z czarką.
- To nie sztuka. Będzie lepiej, gdy zrozumiem estetykę w tym zawartą.
- Jesteś na dobrej drodze.
- Ale ty nie jesteś piątką – zauważyłam nagle. – Twoje Spojrzenie jest zbyt dobrze stylizowane jak na piątkę. No i twój nowy hindi. Zupełnie normalny. A przecież jakiś czas temu mówiłeś ziemskim hindi.
- Nie sepleniłem?
- Ani trochę – zaśmiałam się wraz z nim. Dziwnie było śmiać się w takim anty – otoczeniu.
- Skąd wiesz, że nie jestem piątką?
- Bo zaczęłam odczuwać związany z tym egotyzm, przy tobie go nie odczuwam. To ciekawe.
- Są wszechświaty, gdzie nie tyle zachodzą idący, czy też efekty zjawisk, co sama podróż i zjawisko. Jestem



ruchem, drogą, nie ich efektami. Jestem jakby szprycha wrzuconą do substancji elementów.

- Ale to dopiero po zetknięciu z innymi zbiorami praw fizyki?
- O tak. Wydostać się z żyweli w mojej ojczyźnie wcale nie było rzeczą łatwą. Pomyśl, jak to jest, gdy się jest bardziej ruchem, niż tym kto się wydostaje.
- To tego wszystkiego potrzebne są niezwykle konfiguracje cząstek czasoprzestrzeni – zauważyłam. – Wielość wymiarów, wielość niewymiarów, w efekcie coś zupełnie innego.
- Tak, to dość egzotyczne obszary dla ciebie, choć jak wiesz w multiwszechświecie wszystkiego jest dużo i mało zarazem. I to narasta.
- I to narasta – powtórzyłam za nim, gdyż podobało mi się, że ta tantryczna, rozszerzająca filozofia okazuje się jak najbliższa prawdzie.
- Zmieniasz się w ładny i ekspansywny sposób – pochwalił mnie mój dawny przewodnik. – Byłaś czymś zgniecionym przez długą ewolucję i długie trwanie żyweli. Teraz rozkwitasz. Nie dziwię się, że stanowisz fragment czarki walców.
- Fragment czarki walców? – zapytałam. – Wiem o tym, ale rozwiń tę myśl.
- Nie ma co rozwijać. Czy dawne ziemskie barwniki w malarstwie nie składały się z pyłków i wydzieliny małąż. Malarze bynajmniej nie byli botanikami, ani hodowcami małąż. Podobnie twoja nić czasoprzestrzenna stanowi element kompozycji Walców. Nie mógłbym, albo raczej nie chciał ingerować w jakąś tam żywiel, gdybym nie mógł upiec wielu pieczeni na jednym ogniu.
- Ja też bym nie chciała.
- Więc mnie rozumiesz?
- Oczywiście.
- Teraz powinnaś otrzymać ode mnie kolejne pożyteczne narzędzie, a będzie nim część mojej wiedzy. Zostawiłem ci jedno z moich Spojrzeń na (współrzędne). Gdy je

dotkniesz, stanie się twoim wraz z częścią moich przetworzeń tego co oglądane i współbrzmiących ech.

- Brzmi zachęcająco! – ucieszyłam się. – Choć ogarnia mnie gorączkowe szaleństwo. Ledwo znalazłam MSK, a już mam zaabsorbować część doświadczeń tak egzotycznej jak ty istoty... Ale nic to. Lubię szaleństwo. Niech niesie nas Natura, pływamy z jej chaotycznym nurtem!
- Znakomite podejście – pochwalił mnie Słoneczny, – jednakże nie tak szybko. Dotarcie do (...) nie będzie tak proste. To twoja próba od pokonania. Jeszcze raz będziesz musiała zabawić się w tę atawistyczną historyjkę z rodzaju „polowanie na mamuta”. Mam nadzieję, że badałaś ostatnio atawizmy.
- Ciągłe je badam – zaśmiałam się, jednocześnie odchylając się od ust Rani. – Ministerstwo Miłości działa pełną parą. Z esencji atawizmów wydobywam moc czynu i biegnę szybko. Również moi poddani z tego korzystają. Ogarnęła ich w pełni ras lila, gra chtonicznych nastrojów. Nasza cywilizacja dojrzewa.
- Nie deprymuje cię sąsiedztwo bardziej rozwiniętych sąsiadów?
- Gdyby miało wzbudzać mą zawiść zamiast ciekawości, zabiłabym się natychmiast – odparłam szczerze. – Nie, idziemy do przodu. Robimy szybkie postępy zważywszy na nasz wyjściowy rytm metaboliczny. Zapewne dożyję jeszcze kilku poważniejszych zmian.
- Nie planuj jeszcze daty swojego unicestwienia – stwierdził przyjaźnie, – nie wyciągałbym cię za uszy dla jednego słodkiego uśmiechu.
- Nawet dla ciebie jestem słodką Gauri? – zdziwiłam się dźwięcznie.
- Ciekawość idzie w parze z harmonią i pięknem – odparł kosmita. – Z twojej perspektywy ciekawość to odkrywanie ukrytej symetrii, która uległa w ramach rozwoju przełamaniu.
- To tak jak w klasycznej fizyce, znanej jeszcze na Ziemi – odpowiedziałam.

- Ba! Nawet równania Newtona to śliczne poematy – zapewnił mnie mój przyjaciel. – Gdy już znam alfabet Natury wyrosły w twoich okolicach i kilkanaście szerszych objaśnień, ciężko mi się oprzeć twojej urodzie. Lubię cię Gauri!
- Z wzajemnością – oparłam szczerze.
- Zatem daję ci współrzędne i mapę „wyspy ze skarbem”, a ty szukaj. Do zobaczenia!
- Odwiedzić cię w muzeum nzdelhijskim?
- Nie dzisiaj. Dostarczono dzieła sztuki z planety (...).
- Nie znam (...).
- Ja również nie bardzo, ale obiekty artystyczne są niesamowicie ciekawe i bardzo przy tym nietrwałe. To wykopaliska. Muszę zapobiec ich unicestwieniu.
- Czemu nie zrobisz więcej Spojrzeń? – zapytałam.
- W twoim, wysoce dla mnie egzotycznym wszechświecie to dość kosztowne – odparł, lecz ja mu nie do końca uwierzyłam. Choć kto wie...?

Postaram się być teraz bardziej jednowątkową bohaterką, w myśl umieszczenia fabuły typu „polowanie na mamuta” jako zwieńczenia tej opowieści. Będzie to trudne, gdyż na przykład w tym momencie szczególnie przykuwa moją uwagę wykonanie kolejnej symfonii Ludwika. Zasiadam zresztą w orkiestrze będąc koncertmistrzynią, bowiem skrzypce są ważne również w SNA, a przy zagęszczeniu skali kooperacja między naszymi akademiami jest prostsza. Zanim przejdę do rzeczy „mamuciej”, wspomnę, że lewy brzeg Jamuny, jaki należy podziwiać nim dotrze się do Pierwszej Filharmonii przedstawia obecnie jeden z najwspanialszych widoków w moim sektorze wszechświata. Nigdy nie brakuje pejzażystów z różnych światów utrwalających piękno małych świątyniek, muzeów i malowniczych gajów mieszających się swobodnie ze srebrnymi meandrami rzeki. Teraz wszyscy „malarze” pejzażowi (ciężko nazwać malarstwem to co czynią, lecz istnieje pewna analogia) zebrali się w Filharmonii

Pierwszej Szkoły, która już dawno została rozbudowana do kilkunastu tysięcy miejsc (o bardzo różnych kształtach). Było to nie lada wyzwanie dla akustyków, lecz przy odpowiednich materiałach i odrobinie pracy wszystko jest możliwe.

Jak mogłam się domyślać, nie mieliśmy żadnych informacji o sektorze (...), gdzie zakopany był skarb Słonecznego. Natychmiast w ruch poszły teleskopy odbierające wszelakie pasma promieniowania elektromagnetycznego. Parę nieznaczących urządzeń tego typu dokonywało fotografii w świetle widzialnym przez człowieka, głównie dla mojej przyjemności, choć mogłam już odbierać zmysłami różne częstotliwości fali elektromagnetycznej. Chociaż kilkanaście naszych kolonii i sojusznicze planety Kuberian i Meduzoidów żeglowały przez ciemność wszechświata wraz z rojem instrumentów badawczych, sektor Z (nazwijmy go tak, czemu nie?) był zbyt daleko. Jedynie z Nowego Gwałioru można było obserwować, co działo się w galaktyce mieszczącej sektor Z kilka miliardów lat temu. Oczywiście, mogliśmy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że to co miał na myśli Słoneczny wtedy jeszcze nie istniało, albo dopiero się formowało. Następnym krokiem było rzecz jasna szukanie odpowiednich skrótów przestrzennych mogących nas zbliżyć do sektora Z. Po tysiącach prób dokonywanych przez połowę statków naszej floty, a także pojazdy sojusznicze, udało nam się zbliżyć na odległość stu milionów lat świetlnych od naszego celu. Miejsce, gdzie się znaleźliśmy nazwaliśmy Nowym Triwandrum, nawiązując do indyjskich tradycji nazewniczych.

N. Triwandrum okazało się ciekawym obiektem badawczym. W układzie zaszło zjawisko panspermii – na dwóch planetach skalistych i jednym księżycu gazowego giganta rozkwitało życie oparte na tym samym wyjściowym replikatorze. Biosfera planet była do siebie bardzo zbliżona, zasiedlony późnej księżyc był bardziej egzotycznym jej wariantem. Po długich naradach z rządem, postanowiliśmy zbudować kolonię na N.T. 1, gdyż biosfery wszystkich globów były skazane na zagładę za około 70

tysiący lat. Znajdująca się w pobliżu gwiazda miała na przestrzeni tego okresu rozbłysnąć jako supernowa zmiatając atmosferę planet i księżyca, a może nawet przenosząc je na inne orbity wokół macierzystej gwiazdy. Atmosfera N.T. 1 była całkiem podobna do ziemskiej, tylko dużo gęstsza. Jednakże na szczytach górskich wychodzących na cztery tysiące metrów ponad średni poziom powierzchni oceanów mogłam oddychać w mojej ziemskiej, pierwotnej postaci przy użyciu niezbyt skomplikowanych filtrów. Temperatura wahała się pomiędzy 80 a 190 stopni Celsjusza w dolinach równikowych, na szczytach strefy umiarkowanej oscylowała zaś pomiędzy 20 a 50 stopniami, by na biegunach osiągać zakres pomiędzy minus 10 a plus 20.

Postanowiłam jednym z moich Spojrzeń zostać na N.T. 1, na jednym z rozłożystych grzbietów górskich. Uzbrojona w automatyczną jednostkę RVT 5 i kombinezon klasy 2, który wyłączał się niemal w strefie wysokogórskiej, przechadzałam się wśród niezwyklej, wijącej się bez końca flory i licznych drapieżnych stworzeń przypominających do pewnego stopnia gigantyczne owady (wiele z nich było większych lub równych rozmiarem człowiekowi). Cisza otaczającej mnie przyrody, oraz pryzmatyczne lśnienia nieba, napełniały mnie niezwykle uroczystym nastrojem. Smakowałam ogrom i samotność kosmosu. Biosfera, ten jeszcze jeden z gatunków skały, otaczała mnie ekspansywnie i bez reszty. W nocy wielkie słońce chowało się za horyzontem, zaś nade mną świeciły zupełnie mi nie znane konstelacje. Gwiazd było więcej, gdyż układ Nowego Triwandrum znajdował się dość blisko jądra galaktyki, gdzie masywna czarna dziura pożerała od czasu do czasu jakąś gwiazdę wysyłając niczym latarnia dzety osobliwości kwantowych. Choć N.T. 1 nie posiadało żadnego księżyca, to noc była jasna dzięki większej ilości gwiazd. Tutejsze organizmy miały kilka zmysłów zbliżonych do ziemskich, porozumiewały się na przykład za pomocą dźwięków. Przypominały one piski delfinów i wielorybów słyszane przez zawężone pasmo słyszenia ludzkich uszu. Było coś zupełnie nierealnego w tych nieokreślonych, chlupiących odgłosach. Niekiedy przekonywałam się, że całkiem

małe zwierzątko śpiewa wielorybim basem, innym razem spotykałam ogromne bestie szczebiocące jak wróble. Choć nie miałam dla tutejszych form żadnego zapachu, wiele z nich reagowało na ruch i byłabym już pożarta tysiące razy, gdyby nie RVT 5. Samotna wspinaczka na szczyty granitowych gór była dla mnie ogromną przyjemnością. Niekiedy wyłączałam wspomaganie kombinezonu, by odczuwać mocniej chropowatość kamienia i krążące nade mną, jakby z wysiłku niebo. Budzenie się na kolejnej z malutkich i samotnych wysepek wszechświata należało do doznań niezwykłych. Błyszczące pryzmatycznie motyle, z płataniną macek zamiast odwłoka unosiły się nade mną, przesłaniając niekiedy promienie życiodajnej gwiazdy. Niektóre z nich były tak małe, jak ich ziemskie odpowiedniki, inne miały wielkość samolotów, albo pterodaktyli i krążyły zazwyczaj wysoko nade mną. W pierwszym odruchu ciężko było się zorientować, czy mam do czynienia ze zwierzęciem, które jest blisko i ma niewielki rozmiar, czy też raczej z oddalonym gigantem. Te motylopodobne stworzenia należały do tutejszych zdobywców nieba, podobnie jak ptaki na ziemi. Zauważyłam, że niekiedy wyrzucają z siebie barwne wstęgi, które rozpryskują się w powietrzu. Musiały to być nasiona, gdyż któregoś dnia przyjrzałam się uważniej niektórym górskim „kwiatom”. Ich kielichy nie składały się z płatków, lecz z małych, nierozwiniętych jeszcze motyli. Na kilku przykładach stwierdziłam, że organizmy te mają korzenie i czerpią energię z fotosyntezy. Symbioza łącząca drapieżnika z rośliną tkwiła na poziomie komórek, zatem mogłam śmiało założyć, że N.Z. 1 posiada wiele organizmów roślinno – zwierzęcych, zawierających zarówno coś na kształt mitochondrium, jak i chloroplastu. Obydwie te rzeczy nie były jednak, tak jak na Ziemi, symbiotycznymi bakteriami w eukariontach. Procesy chemiczne były tutaj dużo bardziej zdecentralizowane, choć nie można było odrzucić tezy o bardziej dynamicznej niż na Ziemi ewolucji jednokomórkowców. Sam replikator, zawarty we wszystkich organizmach, był łatwy do wychwycenia, choć poza podstawowymi surowcami chemicznymi w niczym nie przypominał DNA i RNA. Dla tutejszych smakoszy moje ziemskie ciało było

zatem mniej jadalne niż piasek, ale nie przeszkadzało im to próbować szczęścia. Zachłanność tutejszej fauny (będę używać tego, jak dobrze widać, niezbyt precyzyjnego określenia) przywodziła mi na myśl Anarchon, na którym nota bene wciąż przebywałam ginąc i zabijając, w rytmie dobrze pojętej tamtejszej kultury. Ciągłe bitewne metamorfozy były niezwykle lekcją dla mnie i dla wielu moich poddanych, którzy w postaci Spojrzeń korzystali z uroków tamtej planety.

Przenośny kreator, przypominający niewielkich rozmiarów skrzynkę, pełną nanobotów, wytwarzał mi z materii nieożywionej różne przedmioty. W pewnym momencie zdecydowałam się na coś w rodzaju wspomaganych skrzydeł i latałam wraz z tutejszymi „ptakami” nad gęsto porośniętymi dolinami i bagnami, kierując się smugami rzek i wybrzeżami oceanów. Niekiedy opadałam na jakąś łąkę, lub wyspę i spoglądałam w ciemne, melancholijne oczy różnych stworzeń, w których siłą sugestii dostrzegałam pewien odcień melancholii. Oczywiście tutejsze organizmy nie mogły wiedzieć, że znajdują się w objęciach kosmicznej Nemezis, że zegar śmiercionośnej supernowej wybijał już ostatnie chwile dla ich bujnych ogrodów. Tylko najprostsze jednokomórkowce miały przeżyć ten kosmiczny przypływ promieniowania i wysokoenergetycznych jąder wodoru i helu. Śmiałam się z siebie widząc ten zmierzch w ślepiach drapieźników i tanecznych ruchach ich ofiar. Wszystkie te stworzenia, podobnie jak technologiczna żywieli, która już nie miała czasu się z nich wykształcić, poruszały się po ograniczonych torach potrzeb i atawizmów. Replikatory dbały o swoje przetrwanie – to wszystko. Były też ślepe, nie ogarniały wiele poza najbliższym żerowiskiem, poza walką z innymi replikatorami w gigantycznych pojazdach szczerzących zęby, rozwijających skrzydła, kwitnących... Z całą pewnością gwiazdnej ciszy nie wiedziały, że ich praprotomków czeka zagłada.

Gdy po czterdziestej godzinie dnia zapadał zmierzch, lądowałam na jednej z łąk, gdzie większa gęstwina wypełniała

dopiero stopniowo pustkę pozostawioną po burzy, rozkładałam swój namiot i zasypiałam w nim, słysząc wokół siebie szelesty i krótkie, skracane krzyki ofiar i polujących na nie drapieżników. Wiatr uderzał w kompozyt ścian szałasów, symfonia tłustych mas powietrza wyła niekiedy opętańczo. Co jakiś czas potężny deszcz uderzał w moje schronienie i nagle cichł. Takie krótkie, gwałtowne opady były typowe dla N.T. 1. Rano budziłam się i schodziłam do rzeczki, aby uzupełnić zapas wody w skafandrze (mógł ją destylować z atmosfery, lecz w ten sposób ułatwiałam mu zadanie). Poskręcana i zamarła w pozornym bezruchu walka na wpół roślinnych bytów o życiodajną substancję była nieco podobna do tej, jaka odbywała się na Ziemi. Jednakże wszystkiego było więcej, a i ruch wykluczających się nawzajem pierścieniowatych lian i korzeni dawało się niekiedy zaobserwować gołym okiem, nawet przy zachowaniu dość ospałego tempa ziemskiego metabolizmu. Obłe, podobne do pancerników stworzenia wyskakiwały co jakiś czas z wody, zupełnie jakby wykorzystywały energię jakiejś napiętej pod nimi sprężyny. Wśród kaskad wody i potężnego plusku, znajdując się już w powietrzu, porywały ofiarę, którą był najczęściej motylopodobny lotnik. Nieraz natykałam się na gigantyczne wije, o mniejszych, bądź większych odnóżach, które roiły się kalejdoskopowo na ich bokach. Być może życie na Ziemi przed epoką dinozaurów było do pewnego stopnia podobne do tego, co jawiło się tutaj moim zmysłom. Prowadząc badania i przeprowadzając pomiary rozkoszowałam się samotnością i wrażeniem kompletnego oderwania od innych przedsięwzięć. Uczyłam się tego, gdyż oczywiście w innych miejscach otaczały mnie tłumy i byłam gadatliwa jak mało kto kiedykolwiek. Lecz owo wydzielenie samotności i uczestnictwa, jednocześnie, było wspaniałym i twórczym doznaniem. Nie jedną nową ragę przejęłam w SNA i zaczęłam tam ćwiczyć, tutaj zbierając do niej inspirację. Moje nowe skale oddawały lśnienie skrzydeł i pryzmatycznych kwiatów, dziwaczny (z perspektywy mojej ewolucji) taniec tutejszych stworzeń, ni to polujących, ni to uprawiających taniec godowy. Na N.T. 1 istniały dwie płci, co należało do częstych zjawisk w naszym wszechświecie, gdyż z



wielości podwójność najbardziej jest ekonomiczna.

Wreszcie zobaczyłam na niebie nasze statki kolonizacyjne, a raczej te z nich, które były przystosowane do wchodzenia w atmosferę planet. Projektowali je nasi najlepsi rzeźbiarze i architekci, jeden, który widziałam po raz pierwszy, był zaplanowany z pewnością przez Mimarę, gdyż był rozwinięciem stylu sztuki mogolskiej w stronę aerodynamicznej i przy tym masywnej konstrukcji latającej. Nad podobnymi do stylizowanych tulipanów skrzydłami wznosiła się rozłożysta kopuła, zaś kioski wsparte na stalowych kolumnkach chroniły urządzenia pomiarowe i silniki przed wpływem rozgrzewającego się od prędkości powietrza. Znajdowałam się w dolinie obok jednego z wysokich pasm planety, widziałam zatem doskonale gotowe moduły wpijające się w górskie turnie, zaś towarzyszył temu łoskot i wyczuwalne drganie gruntu. Kompozytowe kończyny podestów wcinały się w skalne podłoże, smugi laserów ścinały grzebienie szczytowych partii. Jednocześnie automatyczne zbieracze przenosiły faunę i florę w inne miejsce, nie zważając na kotłowaną osłupiających motyli, którą mogłam podziwiać wpatrując się bardziej rozwiniętym ponad ludzki standard zmysłem wzroku. Rozłożyłam swoje skrzydła i wzbiłam się w powietrze, aby dołączyć do moich poddanych. Przygotowane wcześniej moduły kolonizacyjne czyniły pierwszy krok w stronę zasiedlania planety bardzo szybkim. Również pierwsi mieszkańcy byli już od dawna gotowi i czekali w mroku zasobników na swoje przebudzenie. Posiadali potrzebne do działania informacje, nie należeli do tych potomków nzdelhijczyków, którzy przebywali proces dzieciństwa. Zatem chaotyczna moc obliczeniowa Natury mogła ich zacząć inspirować dopiero teraz, gdy rodzili się już dojrzały w gotowej do działania kolonii.

Na prośbę rady zaopatrzyłam niektóre z tych młodych istot w elementy mojego DNA, były więc wśród nich również moje, przynajmniej po części, dzieci. Nie wyglądały one humanoidalnie. Ostateczne przybranie formy było bowiem uzależnione od warunków jakie istniały na podlegającej

kolonizacji planecie. Końcowe formowanie odbywało się już po ustaleniu lokalizacji nowej nZdelhijskiej planety. Dzieci moje i moich poddanych podobne były zatem do metalicznych, skrzydlatych pajaków, które dopiero miały postanowić, jaki styl ostatecznie wybiorą dla swoich ciał – czy estetykę SNA, czy też egipską, mogolską, albo pierwszej lub drugiej szkoły. Po zebraniu odpowiedniej ilości monet idei mogły też zacząć występować w wielu formach naraz, podobnie jak ja i najbardziej doświadczeni z moich poddanych. Za kolejne bogactwa dzieci NZDelhi mogły też wykupić prawo do zaprojektowania własnych potomków. W tym wypadku ceny zmieniały się w zależności od potrzeb, a także od międzycywilizacyjnych ustaleń dotyczących zasiedlania danego sektora. Nowe Triwandrum było tanie z uwagi na tykającą nieubłaganie bombę supernowej.

Lecąc ponad uspokajającym się pejzażem dziewiczej biosfery zastanawiałam się nad tym, czy będziemy mieli przesłanki, aby ją ratować. Oczywiście, już teraz zaczęliśmy pobierać różne gatunki dla potrzeb ZOO – muzeum, co było w zasadzie formalnością, rzeczą oczywistą, nad którą żadna cywilizacja się nie zastanawiała. Zawsze, w splocie uformowanych przez chaotyczną moc obliczeniową Natury organizmów mogło się zdarzyć zupełnie świeże i inspirujące połączenie. Czasem widziało się je od razu, niekiedy jednak dopiero po wielu wiekach, albo i tysiącletniach dostrzegał je jakiś badacz. Owa przypadkowa zbitka genów i ich efektów fenotypowych mogła bowiem inspirować cywilizacje na dużo wyższym poziomie niż ta, która kolonizowała dany obszar.

Aby jednak uratować biosferę Nowego Triwandrum przed katastrofą należało mieć ważki powód. Wszechświat mienił się od rozkwitających żywieli i ich niszczenie przez kataklizmy naturalne (albo inne żywiele, co na jedno wychodzi) było tak samo interesujące, jak ich spokojne, mineralne trwanie. Dlatego też trzeba było zbadać, czy istnieje powód, aby ingerować w historię życia na N.T 1,2,3. Urządzenia chroniące

przed skutkiem wybuchu supernowej należały do bardzo popularnych, mało kto wymyślał nowe, istniało wiele cywilizacji oferujących je w zamian za inne odkrycia. Najprostsze z nich były zasilane samą siłą ekspansji energiomaterii z rozpadającej się gwiazdy. Im owa siła była potężniejsza, tym silniejsza była grawitacyjna bańka wokół chronionego obiektu. Po przejściu kataklizmu urządzenie wyliczało nową orbitę globu, biorąc pod uwagę zmiany zaistniałe w emisji światła przez macierzystą gwiazdę, a także przesunięcia orbit pozostałych planet. Takie urządzenie zostawało przy chronionym obiekcie na miliony lat, co nie stanowiło większego problemu dla producentów. Jako, że instalacja dostarczała spore ilości energiomaterii, mogła produkować własne kopie, albo inne obiekty, na przykład statki kosmiczne różnych rozmiarów i klas. Główne zatem pytanie dotyczyło sensu ratowania żywieli przed naturalnym biegiem wydarzeń. Oglądając doliny pełne żywych stworzeń nie byłam oczywiście wolna od sentymentalnej chęci ocalenia tego krzyżującego się światem świata. Lecz czy wypalony glob, zamieszkały tylko przez bakterie był gorszy? Czy ewentualna nowa ewolucja w stronę organizmów wielokomórkowych była mniej wartościowa od tej starej, wstrzymanej przez supernową? Czy nie zwiększała, w razie czego, szans na powstanie nowej cywilizacji, albo po prostu nowych niezwykłych zdań wypowiedzianych przez chaotyczną moc obliczeniową Natury? Na te pytania NZDelhijczycy będą odpowiadać przez najbliższe 70 000 lat, czasu więc jest dość dużo...

Nie byliśmy jeszcze zbyt rozwiniętą cywilizacją, choć tempo naszego postępu było całkiem niezłe, zwłaszcza biorąc pod uwagę nasz metabolizm. Tym nie mniej dostrzegaliśmy ekscentryczność niektórych starych cywilizacji, jak choćby tej na Anarchonie. Całkiem możliwe, że owa ekscentryczność miała swoje źródła w niepojętych jeszcze dla nas doznaniach i przemyśleniach na temat zjawisk, które ukarzą się naszym

zmysłem dopiero za tysiące lat. Tym niemniej, jako kosmiczna młodzież, dziwiliśmy się różnym rzeczom, a nikt tego nam nie bronił, gdyż takie jest prawo młodości. Aby pozyskać mapy sektora „ze skarbem kapitana Słonecznego” należało przybyć na stołeczną planetę cywilizacji Ujto. Dźwięki wydawane z narządów mowy Tyrusan dają się od biedy zapisać w hindi, będą zatem je przytaczać. Już sam fakt posiadania stołecznej planety trącił myszką. My, młodzi, traktowaliśmy miejsca z niemal żywielową bezpośredniością. Ja inne zwierzątka hasaliśmy na nich, ryczeli, wchodzili i wychodzili. Na co jednak była Tyrusonom stołeczna planeta? Nikt poza nimi nie umiał na to odpowiedzieć. Ujto było zarówno nazwą planety, jak i miasta, które ją całkowicie wypełniało. Ten przerost tkanki urbanistycznej był pamiątką po ostatnim żywielowym kryzysie, po erze poprzedzającej przejście Tyrusan do stanu cywilizowanego. Było to bardzo dawno temu, tylko kilka znanych mi kronik napomykało o tym zdarzeniu. Utrzymywanie swoich kolebek jako muzeów było szeroko rozpowszechnione, choć prawie nigdy nie utrzymywały one długo statusu stolic. Młoda cywilizacja zazwyczaj trafiała na dużo bardziej atrakcyjne planety i tam przenosiła ośrodek administracyjny razem z najcenniejszymi zabytkami i pejzażami. Po jakimś czasie ośrodek administracyjny w formie jakiejś powierzchni planety, czy gwiazdy przestawał być potrzebny. Tymczasem Ujto nadal było stolicą, zaś żałosny natłok końcowej fazy żywielei aż świecił w zmysły wszystkich przybyszów znajdujących się na orbicie tego globu. Tyrusoni w swojej pierwotnej postaci byli istotami podobnymi nieco do ziemskich much, o metabolizmie 50 razy szybszym od ludzkiego. Ich wielkość i szybkość metaboliczna podlegały w dawnych czasach spontanicznym zmianom. Można zatem sobie wyobrazić jakim gąszczem było miasto zapełniające ściśle całą powierzchnię planety. Lecz to nie wszystko. W fazie żywielei Tyrusoni wybrali niemal całe wnętrze planety, dramatycznie potrzebując wtedy energii i surowców. Było to podobne do tego, co zastałam na Kuberze, choć dużo bardziej zaawansowane. Obecnie Ujto było pełną sferą zabudowy o średniej grubości 300 kilometrów. Wewnątrz sfery

znajdowała się ogromna, pusta przestrzeń, zaś w jej środku rozgrzane metaliczne jądro planety o średnicy około 1000 kilometrów. Od ściany miasta – sfery do jądra dzielił mieszkańców dystans ponad 3000 kilometrów. Wraz z Rani i Ludwikiem utworzyliśmy Spojrzenia wewnątrz tego megalopolis.

Otoczył nas chaos. Poczułam się tak, jakbym stała na samym środku jakiegoś bezkresnego torowiska, a ze wszystkich stron pędziły na nas lokomotywy. Wokół mnie wznosiły się w nieregularnych blokach zęby ścian, który architektoniczną przejrzystość trudno było odgadnąć. Jedna z lokomotyw zbliżała się do mnie w zawrotnym tempie, a na sąsiadujących z moją szynach mknęły rzędy innych pojazdów. Pożegnaliśmy się zatem ze Spojrzeniami, gotowi, by podjąć kolejną próbę. Jednakże, w ostatniej chwili tory wyrzuciły się błyskając kilkoma wymiarami i pociągi wyminęły nas nie wywołując nawet podmuchu dusznej i klaustrofobicznej atmosfery. Nowe technologie skrywające się za tkanką planety – muzeum nie zaskoczyły mnie. Zdziwiło mnie raczej to pragmatyczne odejście Tyrusonów od własnego ekscentryzmu. Choć może zachowywanie pewnych reguł tym bardziej jest ekscentryczne... Mimo wszystko stanęliśmy nieco dezorientowaniu pośród torowiska. Pomimo, że ściany i wejścia piętrzyły się wszędzie, to w płaszczyźnie naszego ruchu we wszystkie strony ciągnęła się równina pełna lśniących szyn, za nią zaś nie było nic, poza jakąś czeluścią, albo zwężającą się w ramach perspektywy płaszczyzną niezbyt wysokiego sklepienia. Trzeba był zatem ustalić jakiś kierunek i konsekwentnie iść ciągle w jedną stronę.

- To nie takie proste... – zaśmiała się Rani.
- Już teraz słyszę inną melodię miasta – stwierdził zamyślony Ludwik.
- Pomiarzy ze stacji dochodzą zniekształcone – zdziwiłam się, – muszą być celowo zakłócone.
- Bawią się z nami – zauważyła nimfa, – przyszliśmy w końcu po mapę, więc... – uniosła się wymownie. Nasze spojrzenia przypominały kielichy tulipanów skrzyżowane z

ćmą i płomieniem. Tak wyglądała forma wyjściowa Tyrusonów.

- Idźmy na nos, moje panienki – zauważył spokojnie kompozytor. – Gdy w dzieciństwie wałęsałem się po polach w okolicach Bonn nie wiedziałem nawet czym jest kompas – Ludwik był już w pełni zadowolony, gdyż przybył, aby posłuchać Ujto. Zatem słuchał. Ja jednak również nie buchałam dymem niecierpliwości. Ogromne połączenie wszechświata działają bardzo uspokajająco na gwałtowność charakteru.
- Czy to ci przypomina okolice Bonn? – nie omieszkałam się mimo to zapytać, choć nigdy nie byłam w Niemczech i to w XVIII wieku.
- Ani trochę – zaśmiał się Ludwik, – ale być może zasada jest słuszna, pomimo odmiennych okoliczności – po czym zagwizdał pierwszy temat symfonii, do jakiej zainspirowało go Ujto. Postrzegaliśmy otoczenie naszymi zmysłami, jeśli formy pierwotne Tyrusonów posiadały jakieś egzotyczne zmysły, nawet oni o nich zapomnieli, co nie było dziwne.
- Moi kochani – odezwała się Rani, – czy nie da się wskoczyć do któregoś z tych pociągów? – spojrzeliśmy na mknące zewsząd składy. Były bardzo podobne do ziemskich urządzeń tego typu, miały nawet pantografy i trakcje nad sobą. Już niemal zapomniałam o tym archaizmie.
- Otoczenie po części musi czerpać swoją formę z naszych wspomnień – zauważyłam niezbyt błyskotliwie.
- To zapewne klasyczny labirynt psychologiczny – mruknął kompozytor. Wzdrygnęliśmy się. Psychologia jaką znałam z ziemi była zamkiem z piasku zbudowanym na problemie tła. Dlatego tutaj tło było z nami interaktywne.
- Ale dlaczego? – zapytałam retorycznie i ze złością. – Przecież mamy to daleko za sobą. Inaczej nas by tu nie było...
- Jak muzeum, to muzeum, słodka Gauri – wyjaśniła Rani. Apsarasy nie miały problemów nigdy i z niczym. Były jak światło Słońca. – A jak u was z młodością?

- Wciąż więcej planów śpiewa mi przyszłość niż przeszłość – odparł Ludwik brnąc przez torowisko, – choć wiem, jak brzmi rozwiewanie się w rzeczywistości. Niektóre utwory niosą element mojej ciszy i pełni, odchodzą, są bardziej niż dzieci. Nie mam już nad nimi władzy, ani one nade mną. Ale sądzę, że nie zaśmiecam nimi wszechświata...
- Z pewnością nie – zaprotestowałyśmy jednocześnie.
- A nawet jeśli – dodał skromnie kompozytor, – to wszechświat daje sobie radę nawet z bałaganem.
- Nasz wszechświat – sprecyzowała apsarasa. Gdzieś daleko, bardzo daleko widniała płaszczyzna, do której mogliśmy chyba dojść. Miała formę nieregularnego filara, gdy zbliżyłam obraz jeszcze bardziej, dostrzegłam drzwi. – Swoją drogą, czy któreś z was ma obecnie kontakt z Antyżerem? – zmieniła temat Rani.
- Niedawno opuściłam go na (...) – stwierdziłam.
- Gdy jesteśmy na (...) splecione w miłosnym uścisku nie mówisz mi o tym – zdziwiła się nimfa.
- Kto by myślał o mówieniu...? – zaprotestowałam.
- Też prawda – zaśmiała się Rani, – ale teraz, skoro możesz, mów!
- Projekt Antyżera spotkał się z przychylnością autorytetów sektora – ciągnęłam. – Powstała już pierwsza szczepionka i trwają badania nad tym, czy uratowała wszechświat (...) którego strzałka czasu (o ile można ją tak nazwać) pozwala nam obserwować pozaczasowe rzuty.
- Obserwowałaś je? – zaciekawiał się Ludwik.
- Tylko przez chwilę – wyjaśniłam. – A to co widziałam nie zapełniło się jeszcze pełną fakturą – sprzężenie kwantowe przenosiło czasami tylko część informacji, na resztę trzeba było poczekać.
- Czy nazwałabyś to doznanie muzycznym? – dociekał dalej kompozytor.
- O tak, zdecydowanie! – odparłam. – Widzisz jakby zamrożone dźwięki, fale harmonii, napięte do granic niemożliwości struny. Na szczęście wszechświat był typową czwórką inaczej nic bym nie zauważyła... Jestem

tylko niemowlęciem w krainach poznania.

- Muszę się tam wybrać! – zakrzyknął z przejęciem Ludwik. Wolno, bardzo wolno zbliżaliśmy się do kolumny z drzwiami.
- (...) – podałam kompozytorowi koordynaty. – Ale niewykluczone, że będziesz musiał trochę poczekać. Wgląd do tego typu wszechświata jest kosztowny i szczelina nie jest wielka. Zawsze ustawia się kolejka ciekawych badaczy. Trzeba mieć też upoważnienie. Istoty z mgławicy (...) zostały upoważnione do przeprowadzenia testów.
- One? – prychnęła Rani.
- Znasz je? – zdziwiliśmy się.
- Oczywiście – odparła nimfa, – współpracuję z nimi w ramach Ministerstwa Miłości. Lecz, choć są naturalnie multipłciowe nie są w stanie stanąć na brzegu rzeki płodności i przemian.
- Ach, to dlatego tak łatwo uzyskałam zezwolenie – zaśmiałam się. – Cóż za nepotyzm!
- Moja śliczna Gauri, ty nigdy nie marnujesz czasu – nimfa była wyraźnie zmartwiona, że nie może mnie pocałować w tej formie. Na (...) i w NZDelhi nadrobiłyśmy to nienasycenie.
- Musiało zaistnieć zjawisko zbytniego odrzucenia atawizmów przy przechodzeniu w fazę cywilizacji – zauważyłam to raczej dla ciebie, Czytelniku.
- Ach, te twoje pamiętniki – mruknęli moi przyjaciele.
- Oczywiście, że musiało zaistnieć – stwierdziła Rani naśladowując głos automatu na coś w stylu chipsów z planety (...). – A owi strażnicy dziurki do klucza są nawet biosferą pierwszego stopnia, nie stworzyli SI, która dopiero później się ucywilizowała. To nie nasze roboty, mają mniejsze usprawiedliwienie dla swojej niewiedzy na temat Afirmacji i Negacji Zarazem Atawizmów – nie muszę dodawać, że ANZA była dumą nimf i Ministerstwa Miłości. Pod tym względem NZDelhi stało się jednym z najlepszych ośrodków badawczych w naszym sektorze wszechświata i w pobliskich rejonach.



- Nasi mechaniczni współobywatele radzą sobie całkiem nieźle, panienko – zauważył kompozytor. Bez końca pisał pieśni miłosne, więc wiedział co nieco na ten temat.
- Zważywszy na punkt wyjścia, owszem – zgodziła się skromnie apsarasa. Filmy, pomady atawistyczne, taniec – to wszystko robiło swoje. Razem z moimi ukochanymi mogłam się czuć tak samo dumna, lecz byłam też królową, więc nie chciałam wkraczać w kompetencje ministerstwa. – W ogromnej mierze to zasługa Gauri – dodała natychmiast Rani, jak zawsze, gdy chciałam być zbyt szlachetna.
- Jeszcze całkiem daleko do tej kolumny – zauważyłam.
- Więc jak myślicie – ciągnął Ludwik, – mogę spojrzeć na tę zastygłą muzykę bez wieków stania w kolejce?
- Czekaście, czekaście – przerwałam mu nagle. – Mam coś z Planety Wirów...
- Wreszcie – zauważyła apsarasa, – Słoneczny był jednak szalony wysyłając cię tak wcześnie na planetę o tak powolnym metabolizmie mieszkańców.
- Ale są tam niesamowite skarby – uśmiechnęłam się barwą głosu, bo ciało Tyrusona raczej na to nie pozwalało. – Stałam się już pomysłowością i wciąż potęguję moją obecność w tamtym Spojrzeniu. Odrywam się od zmian prostych, elementarnych. Czyli dziejących się przez dodawanie i odejmowanie. Teraz zmieniam same zasady zmienności.
- Czyli możesz, między innymi, na bazie nikłego promienia zrekonstruować cały widok stosunkowo egzotycznego wszechświata – zauważyła Rani.
- Owszem – byłam z siebie dumna, – choć połączenie tej umiejętności z innymi, zharmonizowanie jej w sobie zajmie mi trochę czasu. Ale już teraz mogę ci pomóc Ludwiku. Udaj się jednym ze Spojrzeń do „dziurki od klucza”. Moja najbliższa obecność to (...). Myślę, że spotkamy się po drodze i tam przekażę ci wiedzę o zmianach strukturalnych.
- Nie wiem jak ci dziękować – wzruszył się kompozytor.
- Już mi podziękowałaś ostatnim zbiorem kwartetów na

skrzypce, instrument (...), winę klasycystyczną i flet – zauważyłam, zdziwiona bezinteresownością mojego przyjaciela. Zawdzięczałam mu ogromnie wiele. Zdobycz z Planety Wirów stanowiła skarb, ale zaszczytem było dla mnie dzielić go z Ludwikiem.

- Flet w 17 kwartecie lepiej zastąpić trąbką – powiedział pogodnie kompozytor. Jak wrócimy na stację, dam ci transkrypcję. Musiałem zmienić trochę nut, ale niezbyt wiele.
- Chyba się trochę zbliżyliśmy, moi drodzy – zażartowała Rani pogwizdując wesoło jakąś prostą thumri, indyjską pieśń erotyczno miłosną. – Spójrzcie na te połamane bloki. Jakie ciekawe echo tworzą. Chyba nie są tylko iluzją...
- Jak ci się udaje gwizdać w tej postaci? – zdziwiłam się.
- Sama spróbuj – zaproponowała Rani i rzeczywiście, po kilku próbach dołączyłam do niej, zaś Ludwik zaczął nam dodawać drugi głos zgodnie z zasadami Pierwszej Szkoły, które wciąż rozwijał „nie niszcząc pnia” (jak powiadał). W ten sposób czas leciał szybciej, a nieprzyjazne otoczenie ożywało od naszych muzycznych szkiców. – Gwiżdźcie, gwiżdźcie – odezwała się nimfa. – Ja chwilę pomówię, to też jest przyjemne. Zwłaszcza na tle waszej muzyki. Zauważcie, jak daleko posunęła się ta tyrusońska żywieli! Z pewnością nie mieli już paliwa dla transportu indywidualnego, więc musieli rozwijać publiczny. Przeludnienie musiało być koszarne, zwłaszcza, że jak sądzę, jedynie kilkanaście procent społeczeństwa stać było na przemieszczanie się. Reszta rodziła się i umierała w tych samych slumsach. To nic nowego. Ale czemu ci Tyrusoni się tym chwalą? Dobrze, zaraz zacznę gwizdać, a ty, Ludwiku mi odpowiedz, bo co powie Gauri mogę się domyślać.
- Cóż, moja piękna panienko... – zaczął kompozytor, niechętnie odrywając się od ulubionego zajęcia. – Być może poskromienie własnej dumy, jakiegoś tyrusonizmu zaowocowało takim pomnikiem samooskarżenia...? Swoje

powiedziałem, teraz kolej na panienkę.

- A może oni chcą nas pouczyć? – zasępiła się apsarasa. – Ale dlaczego? Przecież nie byłoby nas tutaj, gdybyśmy potrzebowali aż tak podstawowej lekcji. Wiem, już o tym mówiliśmy, ale jednak jest to bardzo tajemnicze. Dobrze Gauri, twoja kolej, bo ja schwytałam nową melodię...
- Mogą uważać te zwłoki planety za przejaw sztuki ekspresjonistycznej – zauważyłam, – choć taka dosłowność graniczy z kiczem. Kto wie, może Tyrusoni, pomimo swego zaawansowania mogą się od nas nauczyć wiele z dziedziny estetyki. To bardzo ważne. Mielibyśmy płaszczyznę dla ścisłej współpracy z posiadaczami wielu technologicznych skarbów – nagle sprzężenie kwantowe uzupełniło szkic, który kotłował się w wielu moich głowach. Usłyszałam głos Wadź, przemawiający do mnie chyba na (...).
- Witaj – rzekła moja przyjaciółka. – Widzę, że jesteście też na Ujto. Szczerze wam współczuję.
- Nie masz może map sektora (...)? – spytałam z nadzieją i zsynchronizowałam się z Rani i Ludwikiem, tak, aby mogli usłyszeć naszą rozmowę.
- Teraz to i tak nieistotne dla was – odparła Wadź, – Tyrusoni nie wypuszczą stąd waszych Spojrzeń dopóki nie przejdziecie ich labiryntu do końca. A od tego, co przebywa na Ujto ciężko się wyłączyć. Dopóki nie skończycie waszego pobytu na Ujto, będziecie musieli tu być obecni. A wierzcie mi, to ściąga uwagę innych obecności.
- Nuda też ma swój urok – stwierdziła pogodnie Rani.
- Ale nie każdy ma aż takie doświadczenie w rasach, jak ty, panienko – pożalił się kompozytor. – Wadź, to masz tę kartę, czy też nie?
- Drogi Ludwiku – zaśmiała się Wadź, – gdybym ją miała, to tym bardziej irytowałby was rytuał pobytu na Ujto. Zatem przyjmijcie dla waszego dobra, że nic nie wiem o sektorze (...), a czy kłamię, czy nie, to już moja sprawa. Zważcie, że robię to dla waszego dobra.
- Mówisz tak, jakbyś znała ten sektor – zauważyłam

podejrzliwie.

- To okropne – zauważyła Wadź, – nie możecie nawet przyspieszyć kroku i pobiec przez to torowisko...
- To właśnie należy do bogactwa tej chwili – zauważyła filozoficznie apsarasa. – Nie można skorzystać z tego, co oczywiste, więc czyni się nieoczywiste. To znaczy idzie się przez torowisko o wielkości ziemskiego kontynentu.
- Och, nie jest tak źle – zapewniła nas Wadź, – ta przestrzeń nie ma nawet rozmiaru Sri Lanki.
- Mamo, wciąż mam wrażenie, że współpracujesz ze Słonecznym – zauważyła Rani.
- Skąd taki pomysł, córeczko? – zdziwiła się Wadź.
- To dlaczego takie udane ze mnie dziecko? – spytała nimfa.
- Mocne argumentum – zaśmiał się kompozytor. – Duża ta Sri Lanca?
- Gdy ma się wielkość muchy, nie ma większej różnicy między nią, a Azją – wyjaśniłam wsłuchując się w ryk betonowych form. W sumie nie wiedziałam, czy był to beton, ale z pewnością jakiś mało przyjemny gatunek sztucznego kamienia.
- Obudziłam Czandrę i znów go uśpiłam – zmieniła temat Wadź.
- Dlaczego? – spytałam, aby podtrzymać ten wątek.
- Mogę wam zacytować trochę jego stanów myślowych po przebudzeniu – odparła Wadź, – stanowią one swoisty przykład literatury egzystencjalnej.
- No tak, to trzeba go było wrócić Bogom Snu – zgodziła się skwapliwie apsarasa, która szczególnie nie cierpiała bazującej na nieuświadomionej chorobie tła prozy egzystencjalistów. Zgodziliśmy się z nią skwapliwie.
- Dominującą myślą w przebudzonym Czandrze było wrażenie alienacji, oderwania, samotności, czekania na coś, co nie przyjdzie, bezcelowości, goryczy, tragicznej rezygnacji... – znęcała się nad nami Wadź.
- Dość! – krzyknęłam. – Już lepiej w spokoju medytować nad

tymi przesuwanymi się niezauważalnie blokami. Jak one są daleko? Wydaje mi się, że wiszą tuż nade mną, a jednak nie zmieniają swojej pozycji w stosunku do mojego Spojrzenia, choć idziemy już dość długo.

- Odcięli was od urządzeń pomiarowych? – zapytała retorycznie Wadź.
- Przecież mówiłaś, że tu byłaś? – zaprotestowałam.
- Może kłamałam – zaśmiała się Wadź. – W każdym bądź razie sklepienie nad wami wznosi się na trzy miliony much.
- Cały czas? – zapytała Rani z powątpiewaniem.
- Średnio – odparła Wadź, – czasem i spada na sto much zaledwie. W skali ludzkiej ze 30 centymetrów.
- Może można by jakoś się wspiąć? – zapytał Ludwik. – Widać wiele wejść.
- Te prostokątne płaszczyzny są uczynione w najwyższych partiach – wyjaśniła Wadź.
- Czyli, że to nie są wejścia? – zdziwiłam się.
- W żadnym razie – wyjaśniła Wadź, – możliwe, że niektóre z nich to potężne, przesuwane masywy odkrywające niebo nad planetą.
- Zatem być może brama do której zmierzamy jest też dużo większa niż sądziłam i wcale nie jest bramą... – zauważyłam z rezygnacją i zapadło milczenie.

Na szczęście po kolejnej godzinie marszu okazało się, że moje obawy były niesłuszne. Drzwi rozsunęły się przed nami w egzotyczny sposób (trochę jak przesłona migawki w aparacie fotograficznym lub w oczach kręgowca) i weszliśmy do środka. Widok, jaki odsłonił się przed nami oszołomił nas zupełnie. Znaleźliśmy się w gigantycznej puszczy, stanowiącej zapewne starannie utrzymywany rezerwat przyrody. Staliśmy przy jednej ze ścian, a pod nami, za stosunkowo stromym stokiem porośniętym mniejszymi okazami flory rozpościerała się dżungla wysokich, drzewopodobnych roślin. Po raz pierwszy do dawna mogłam użyć słowa „roślina” otwarcie i szczerze, albowiem większość organizmów wypełniających dolinę żywiła się za pomocą fotosyntezy i nie pożerała innych organizmów. Po

wyregulowaniu zmysłów mogliśmy zanurzyć się bez reszty w cudownych zapachach, z których kilka przypominało ziemskie. Dominujące formy roślinne przypominały gigantyczne trawy. Nad nimi tonęły w przestworzach ogromne symbionty grzybno – roślinne. Owa grzybowatość była w tym wypadku większym przybliżeniem, niż roślinność innych form. W każdym bądź razie grzybowaty pierwiastek zawarty w owych megagigantach nie przeprowadzał procesu fotosyntezy. W atmosferze Ujto zawartość tlenu była dużo większa niż na Ziemi, co sprawiało, że przyroda w dosłownym tego słowa znaczeniu płonęła w procesie gwałtownej wegetacji i obumierania. Od dawna fascynował mnie ten gaz, a zwłaszcza fakt, że życie na Ziemi „zaryzykowało” zabawę z tą przepojoną energią trucizną. Nie tak wiele ewolucji we wszechświecie szło drogą podobnych szaleństw, więc cieszyłam się, ilekroć widziałam takie pokrewieństwo. Rośliny i symbionty Ujto były niekiedy dużo większe od ziemskich. Dla istot posiadających rozmiar muchy stanowiło to niezapomniane wrażenie. W dżungli nie było dróg, bowiem między łodygami gigantycznych traw było dla nas wiele miejsca. Szliśmy zanurzeni odnóżami w czymś podobnym do mchów. Sięgało to pierwszych przegubów naszych Spojrzeń i nie utrudniało marszu. Piętra roślinności były zatem całkiem analogiczne do ziemskich, ale istniało wiele różnic, które ciężko opisać słowami. Niekiedy drobiazg potrafi mocniej podkreślić egzotykę danego miejsca, niż całkowite zróżnicowanie.

Musieliśmy uważać na pociski roślin. Były to ich pyłki, choć bowiem Tyrusoni byli wielkości much, nie było na Ujto żadnych stworzeń podobnych funkcją owadom. Co za tym idzie, mimo bujności tutejszych ogrodów nie widzieliśmy kwiatów. Rośliny zapylały się najczęściej drogą współbrzmienia. Miały w sobie krtań, specyficzną strunę, która brzmiała nieco podobnie do muzykowania cykady. W innych roślinach tego samego gatunku były nisze rezonansowe. Gdy rezonans przypadł „słuchaczce” do gustu wystrzeliwała ona w stronę śpiewającej trawy pyłki. Były one absorbowane przez niemal całą powierzchnię obdarowanej. Widzieliśmy, jak powoli toną w twardych na pozór ścianach

łodyg i rozłożystych liści.

Choć podłoże puszczy było zupełnie dziewicze, widzieliśmy wiele śladów obecności Tyrusonów w postaci ułatwień dla zwiedzających ten park. Co jakiś czas pod pnem megagigantycznego symbionta mieściło się wejście do windy. Gdy przebyliśmy stosunkowo duży dystans od podnóży opadającego spod ściany tej groty stoku, weszliśmy do jednego z dźwigów osobowych. Skrzynka windy rozpędziła się błyskawicznie i niemal od razu znaleźliśmy się tysiące metrów ponad dżunglą. Na ostatnim piętrze, wypełniającym jedną z gałęzi symbionta, mieściło się niewielkie miasteczko pełne restauracji i sklepów z pamiątkami. Tutaj właśnie spotkaliśmy pierwszych mieszkańców. Lecz zanim zaczęliśmy z nimi rozmawiać staliśmy długo oniemiały pięknem rozciągających się pod nami krajobrazów. Las wypełniał niemal szczelnie całe nasze pole widzenia, ale z tej wysokości widać było też widniejące w nim dziury. Obnażały one wybrane przez przemysł wnętrza planety, a przez najbliższą z nich żarzyło się odległe niemal jak księżyc jądro planety. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy wewnątrz sfery, pustej skorupy globu, choć ponad nami nie było żadnych otworów. Iluzja dziennego nieba była emitowana przez sprzęt elektroniczny i wyrafinowane systemy luster zwiększające efekt.

Architektura turystycznego miasteczka należała do udanych, czego nie byliśmy pewni po ekscentrycznym obnażaniu przez Tyrusan trzewi wyeksploatowanego globu. Budowle miały w sobie coś gotyckiego. Pełne były wystających łuków, przypór, zaś same w sobie stanowiły odarte ze ścian szkatułki na światło. Łuki w związku z tym posiadały strzałkę, były wyostrome podobnie jak w architekturze gotyckiej, albo arabskiej. Materiał używany przez budowniczych stanowiły ceramiczne płytki, starannie modelowane, zachodzące na siebie jak łuski. Zaczęłam kopiować budowle dla potrzeb naszych muzeów. Turyści gromadzili się wokół mnie i oceniali moją pracę z uznaniem.

▪ Widzę, że dopiero zaczynacie zwiedzanie – rzekł wreszcie

jeden z nich, zupełnie, jakby był NZDelhijczykiem. Mój translator tłumaczył go gładko, bez żadnych zacięć. Przypuszczam, że tubylec mógłby mówić moim językiem, gdyby tylko narządy mowy mu na to pozwalały. Poczułam, że stykam się z zaawansowanym ludem z naszego wszechświata.

- Nie tylko zwiedzanie – odparła Rani, – lecz i załatwianie spraw urzędowych.
- To idzie u nas w parze – zaśmiał się tubylec, – chyba, że ma się Tyrusońską krew.
- Cóż za nacjonalizm! – zakrzyknął oburzony Ludwik.
- Nie, drogi panie – wyjaśnił spokojnie Tyrusończyk, – nas nasz rząd męczy w inny sposób.
- Jesteście jakimiś masochistami, jeśli wolno zapytać? – zdziwiła się apsarasa.
- Ani trochę – ciągnął Tyrusończyk, – ale tego typu łamigłówek są nam potrzebne.
- Przecież dawno już nie należycie do żywieli – zauważyłam.
- Labirynty są jak soczewki, którymi można przybliżyć to, co ogląda się na co dzień i dostrzec więcej – odparł tubylec.
- Nie lepiej uczyć się poznawać inne wszechświaty? – zapytał kompozytor.
- Lepiej robić jedno i drugie, trzecie i czwarte – wyjaśnił Tyrusończyk.
- Jesteśmy chyba zbyt młodzi, aby docenić soczewkę zagadek, prób i labiryntów – zauważyłam. – A zależy nam na mapie sektora (...).
- Właśnie dlatego, że nie docenicie, uczycie się jej – stwierdził tubylec.
- Nie można przełożyć lekcji na naszą następną wizytę? – zagadnął Ludwik.
- Nie – stwierdził miejscowy, – planeta Ujto jest sztuczną inteligencją i samodzielnie przydziela zadania odwiedzającym.
- Kto by pomyślał – zdziwiła się Wadź, a jej głos stał się



słyszalny również poza naszymi myślami. Było to z jej strony duże osiągnięcie, zważywszy na to, że Tyrusończycy, a raczej sama Ujto, nie pozwalali (lub „nie pozwalała”) ściągać nanobotów na swoją powierzchnię po materializacji Spojrzeń. Wadź wykorzystwała w tym celu komórki zawarte w naszych Spojrzeniach, ale tak, aby nie ograniczać naszych możliwości. Natura zwykle jest mimo swego przypadkowego utylitaryzmu bardzo hojna. Choć wydaje się iż waży każdy atom w ciałach swoich stworzeń, nie poprawia wielu błędów i ekstrawagancji. Zatem we wszystkim co żywe istnieje wiele miejsca dla SI z fantazją.

- Jestem pod wrażeniem – pochwaliłam ją.
- To jeszcze nic – zaśmiała się Wadź i z fragmentów naszych tyrusońskich „łusek”, albo też piór, oraz innych fragmentów niepotrzebnych tkanek utworzyła swoje Spojrzenie w formie własnej miniaturki, tak jak lubiła.
- Ujto pozwala mieć tylko naszą formę – zdziwił się Tyrusończyk.
- Już nie, jak widzisz – rzekła nie bez dumy Wadź, – poza tym jestem tu o tyle, o ile.
- Poprzez ich obecność? – zapytał domyślnie tubylec.
- Owszem – odparła Wadź.
- Mimo to pierwszy raz coś takiego widzę – ocenił tutejszy. Ja zaś ponownie przyjrzałam się jego formie, płomiennie – kwiatowo – ośmiornicowej i zdziwiłam się, że w miejscu, gdzie nie ma kwiatów zwierzęta wyglądają jak one. Jednakże rzecz cała dawała się łatwo wyjaśnić. Gdy przy wzroście organizmu istniało kilka linii symetrii, nie zaś jedna, jak w przypadku kręgowców, musiał powstać kształt zbliżony choć trochę do rozgwiazdy albo ukwiału. Symetrie przy wzroście kilku komórek mających się zmienić w wiele milionowe ich państwo stanowiły doskonałą drogę na skróty dla Natury. Można się było co najwyżej dziwić tym, że na Ziemi tyle zwierząt posiadało jedynie jedną oś symetrii. Lecz było to spowodowane kośćmi u kręgowców. Jedna symetria pozwalała

zaoszczędzić materiał i lepiej opracować szkielec na drodze ciągłych i kumulatywnych przypadkowych zmian.

- Nie macie kości? – zapytałam.
- Oczywiście, że nie – odparł Tyrusończyk.
- Popadamy w rozliczne dygresje – zauważył Ludwik, – a ja nadal pytam się o możliwości znalezienia drogi na skróty w pozyskiwaniu mapy. Podoba mi się muzyka tych pejzaży. Bór roztaczający się pod nami to jedna z bardziej malowniczych rzeczy, jakie zdarzyło mi się widzieć. Znów mam ochotę powrócić do formy oktetu, albo sekstetu na instrumenty dęte.
- Nie ma dróg na skróty na Ujto – stwierdził stanowczo tubylec.
- Dobrze zatem – kompozytor wsłuchał się głębiej w pejzaż, – nic nie szkodzi. Jediną wadą zaistniałej sytuacji jest to, że obecności tutaj dziwnie mocno odrywa mnie od pracy w Pierwszej Akademii. Czuję się, jakbym był tam mniej niż tutaj.
- To sprawa naszej planety – zauważył z nieskrywaną dumą Tyrusończyk.
- Może chce nam przypomnieć, jacy byliśmy jeszcze niedawno? – zawiesiłam w powietrzu nazbyt gościnnej planety takie oto pytanie.
- To nie wykluczone – zgodziły się Rani i Wadź. Niekiedy myślały dosyć podobnie, bądź co bądź stanowiły najbliższą rodzinę.
- Być może powiesz nam zatem, co mamy zrobić, do kogo się udać? – zapytała miejscowego Rani.
- Jestem tylko zwykłym turystą, tyle, że należącym do cywilizacji, która przebudziła się na Ujto – zauważył Tyrusończyk.
- Ale zapewne wiesz, do kogo się zwrócić, gdy jest się zagubionym podczas... zwiedzania? – zapytałam.
- Ależ panienko, my rzeczywiście zwiedzamy – stanął w obronie pięknej planety Ludwik. Zgodziłam się z nim oczywiście.
- Trzeba się udać do biura informacji turystycznej –

objaśnił tubylec.

- Czy to gdzieś tutaj? – zapytałam z nadzieją.
- Wiele osad dalej – zaśmiał się Tyrusończyk, – ale pomogę wam, jesteście bowiem zabawni.
- To miłe – ucieszyła się Rani, – my też lubimy za takich uchodzić.
- Z całą pewnością – przytaknął kompozytor.
- Ja również nie narzekam – dodałam, choć czułam się odrobinę zniecierpliwiona, gdyż nagle zaintrygowała mnie mocniej wiedza Słonecznego czekająca gdzieś w dali, w głębiach wszechświata (na szczęście tego wszechświata). Możliwe, że ta nagła, atawistyczna niecierpliwość spowodowana była milionem zapachów, które atakowały mnie zewsząd. Jako, że na Ujto nie było żadnych kwiatów, ani też zapewne owoców, był to zapewne element tutejszej komunikacji. Pachnące okrzyki mniej świadomych stworzeń (lub w ogóle nie świadomych) i Tyrusan.
- Pośpiech jest złym doradcę – wczytał się w moje myśli tubylec.
- Wiem – zaśmiałam się, – ale pomyłki też są potrzebne. Gdybyśmy zawsze zgadzali się z czasem, nigdy byśmy go nie zauważyli.
- Va! – zakrzyknął Tyrusończyk, który do perfekcji opanował ekspresję mojego języka. – Va! Ale nie będziemy biec na oślep, należy się przyglądać wszystkiemu. Mam przewodnik.
- To gruby plik – zauważyła nieco złośliwie Wadź, która zdążyła już wczytać go do pamięci.
- Wadź – szepnęła nagle Ujto, a jej głos dochodził zewsząd.
- To zaszczyt, ona rzadko się odzywa – zauważył przejęty tubylec.
- Wiele jest planet w kosmosie, niejedna też zwykła się wymądrzać – zauważyła z przekąsem Wadź.
- Wadź – westchnęła ponownie planeta.
- Posłuchaj moja droga, to ty jesteś w końcu inteligentna, czy też nie – obruszyła się Wadź.

- Czym jest intelekt? – zapytała planeta.
- Mówiłam, liczą się rasy, joga zmysłów – wtrąciła dumnie Rani.
- To z pewnością – zgodziła się Ujto.
- Powiedz nam, czemu schowałaś przed nami mapę? – zapytałam.
- Gauri – powiedziała planeta przeciągle i z poszumem wiatru, – odetchnij mną głęboko i nie martw się. Ile byś czasu miała żyć, dodam ci te chwile, które tu spędziłaś. Dodam ci je nie na próżno, zapłodnię cię kilkoma myślami – rzeczywiście, poczułam w sobie kiełkujące ziarenka idei, których nigdy jeszcze nie dostrzegłam. Były absolutnie piękne, choć niemal nie dostrzegalne.
- A jednak jesteś inteligentna – gwizdnęła z podziwem Wadź, – tak ładnie dołożyć się do przypadkowej mocy obliczeniowej Natury, to napełnia podziwem! Długo musiałaś ją studiować.
- A czymże jest istnienie, jak nie jej studiowaniem? – zapytała Ujto.
- Nawet nieistnienie tym jest, bo któż by pytał o studiujących – zauważyłam.
- Va! – pochwaliła mnie znów planeta, a ja aż zarumieniłam się z dumy (oczywiście do takiego stopnia, do jakiego mogłam w tym Spojrzeniu). Pochwała Ujto nie była niegodną wzmianki...
- Dobrze, już się nie martwię – rzekłam, – możemy tu z tobą zostać na dłużej bez zniecierpliwienia.
- Nie jestem tego pewien – zaprotestował Ludwik, – potrzebuję silniejszej mojej obecności w NZDelhi. Już dawno nie tworzyłem oktetów dętych.
- A gdybyś tutaj założył filię Pierwszej Akademii? – mruknęła kusząco planeta. – Już zaczęłam lepić ci całą orkiestrę. Będą wyglądali jakby dopiero co byli w Wiedniu, choć oczywiście uwzględnię wszelkie reformy zmysłów, jakie wprowadziliście na pocziwym i niemym NZDelhi.
- Przekonałaś mnie – stwierdził krótko kompozytor, który

bywał bardzo konkretną istotą przecząc romantycznym mitom o artystach.

(461)